

# Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

Przerobił J. R.

## ROZDZIAŁ I.

### Mąż i żona.

Było to w zimie. Po śniegiem pokrytej szosie szła znużonym krokiem młoda kobieta. Mrok wczesnego wieczora zsuwał się powoli na łąki i lasy, ostry, przejmujący wiatr zawodził rozpaczne swe skargi, unosząc tumany śniegu. Drżąca z zimna w swem biednym, cienkim ubraniu, zdążyła nieszczęśliwa do pobliskiej wsi. Otulona w starą, podartą chustkę, niosła na ręku małego, może czteroletniego chłopca, który z głośnym płaczem tulił się do jej łona.

— Mamo! Tak mi zimno i tak mi się jeść chce! — skarżył się chłopczyzna.

— Zaczekaj jeszcze chwilę, Fredziu — uspokajała go matka, przyciskając go silniej do siebie — za chwilę już będziemy tam, u twego ojca. Tam już nigdy nie będziesz głodny. Miłosierny Boże! Dodaj mi sił, bym jeszcze mogła dojść do zamku! — zawołała głośno, brnąc z trudem przez zasypany śnieg.

Chłopczyzna przestał płakać. Nieszczęśliwa matka mówiła zaś sama do siebie:

— Boże mój! Dlaczego on mnie i dziecko porzucił? Dlaczego wydał nas na łup ostatniej nędzy?

Dobijając ostatnich sił, szła coraz dalej przez wieś, wreszcie dotarła do długiej, lipami obsadzonej alei, wiodącej do zamku Schleinitz. Jeszcze chwila, a przed oczyma jej stanął w całej swej majestatycznej grozie warowny gród. Wiatr przestał wyc na chwilę i wtedy nieszczęśliwa aż się wzdrygnęła, jakby ją ta nagła cisza przejęła trwogą. Dziecko jej płakać przestało, jakby na niem zaciężyła już koścista dłoń śmierci. Przerażona stanęła, pochyliła głowę i słuchała. Bogu dzięki! Jej mały Fredziu jeszcze oddychał.

Podniosła oczy na rześmiałe oświetlone okna zamku i serce jej się ścisnęło. Tam, w komnatkach zamkowych mieszka jej niewierny małżonek, opływając w dostatki, kiedy ona wraz z dzieckiem marznie na mrozie! Muszę tam wejść — szepce zbiegającymi wargami — muszę się z nim widzieć nie dla siebie, ale dla dobra swego dziecka.

A jednak opanował ją jakiś dziwny lęk. Jak on ją przyjmie, ten mąż, który jej wierność słubował, a porzucił ją, jak się łachman niepotrzebny rzuca.

Serce jej biło, jak spłoszony ptak, kiedy stanęła w obszernej sieni zamkowej i bezradnymi oczyma wodziła po ścianach, nie mogąc ujrzeć żadnej żywej istoty. Śnieg tajał na jej sukniach, tak, że każdy swój krok znaczyła wilgotnym śladem. Podeszła do wysokich drzwi, jednak kiedy je chciała otworzyć, siły ją opuściły i zemdlna osunęła się na ziemię.

— — — — —

W jednej ze wspinających komnat zamkowych chodził niespokojnie wysoki, elegancki mężczyzna. Błogi uśmiech rozlewał się po jego pięknej, czarnej brodzie okolonej twarzy. Chodząc, mówił do siebie:

— A więc jutro się z nią ożenię. Piękna Erna z pewnością oczekuje już z tęsknotą swego oblubieńca. Nic dziwnego, przecież ja ją zrobię hrabiną Pardua.

Spojrzał na zegar i mówił dalej:

— Hm! Za pół godziny trzeba będzie zaprzężyć, bo inaczej spóźnię się do pociągu, który mnie ma zawieźć do miasta. A przecież jutro muszę być na czas w domu pięknej narzeczonej.

Chciał właśnie zadzwonić na służącego, kiedy drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł stary, siwowłosy mężczyzna, zarządca zamku.

— Panie hrabio! — rzekł starowina widocznie wzruszony — przyszła tu biedna, młoda kobieta z dzieckiem. Znalazłem ją w sieni zemdlną — godna litości, powiadam....

— A więc żebraczka? — przerwał mu hrabia. — Trzeba jej dać schronienie na noc i zanieść ją do jakiego pokoju dla służby.

— Kiedy nieszczęśliwa upiera się, że chce mówić z samym panem hrabią. Powiada, że jasnie pana zna....

— Co? — zawołał hrabia niechętnie. — Jednak głos mu zamarł w gardle, kiedy postać nieszczęśliwej ukazała się w drzwiach.

Z dzieckiem na ręku, usunawszy zarządcę z progu, weszła do pokoju. Hrabia, ujrawszy jej

bladą twarz, na której można było odczytać przebyte troski i cierpienia, cofnął się w głąb komnaty, jakby oszalał z przerażenia.

— Wielki Boże! — krzyknął zdławionym głosem i patrzył na przybyłą wzrokiem tak obłąkanym, jakby widział przed sobą upiora, który przed chwilą wstał z grobu. — Małgorzata!

Opanował się jednak w tej chwili i skinieniem ręki kazał się oddalić zdumionemu zarządcy zamku.

— Niewierny mężu! — zawołała nieszczęśliwa i podbiegła ku niemu. — Nareszcie cię odnalazłam, chociaż od dwóch lat ukrywasz się przedemną. Przypatrz się, okrutniku, zobacz, do jakiej nędzy mnie doprowadziłeś — mówiła głosem, tamowanym przez łzy, stawiając dziecko na ziemi.

Blady, jak ściana, patrzył hrabia zimnymi oczyma na matkę i dziecko, ale na twarzy jego nie było widać najmniejszego wzruszenia, skrucy ni litości. Gdyby przed nim stała jaka obca żebraczka, której zupełnie nie znał, byłby jej z pewnością większe okazał współczucie.

— Czego ty chcesz? — rzekł do niej groźnie, a w oczach płonęły mu błyskawice tłumionej wściekłości. — Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Wynos się! Wynos mi się z zamku w tej chwili i nie waz się wchodzić mi kiedy w drogę.

— Robercie! — wybuchła kobieta, a głos jej brzmiał jak jęk śmiertelnie ranionego zwierza. I w tej sekundzie biedna kobieta padła do nóg hrabiego i objęła go za kolana.

— Robercie! — mówiła łkając, podniósłszy ku niemu swą bladą, łzami zalaną twarz. — Zlituj się! Miej przeciw litość nad swoim własnym synem! Chcesz nas wyrzucić stąd w zimną noc? Nie, nie, tego przecie nie zrobisz, bo musiałbyś być bardziej okrutny, aniżeli najokrutniejszy mieszkawiec piekła. Kilka mil szliśmy tu do ciebie, przedzieraliśmy się po śnieżnych zaspach. O Boże! Co ja ci zrobiłam, okrutniku? Co zawiniło twoje biedne dziecko, że je porzuciłeś?

— Milcz! — krzyknął hrabia, odsuwając brutalnie jej ręce — ani słowa więcej! Gdyby służba słyszała, że... powiadam ci, kobieto, idź precz! Odejdź, albo — zapomnę się w gniewie — syczał groźnie przez zaciśnięte zęby. — Nie powiedziałem ci wyraźnie, że nie chcę słyszeć o tobie! Przeklinam te więzy, które mnie zawsze przykuwają do ciebie, a których ty sama nie chcesz zerwać. Ale biada ci, jeśli cię jeszcze spotkam na swej drodze.

I pięścią uderzył ją w piersi tak, że nieszczęsna aż się zatoczyła na dywan. Podniosła się jednak wkrótce i tuląc do siebie dziecko, które głośno zaczęło płakać, zawołała głosem pełnym rozpaczego bólu:

— Nie, Robercie! Nie pójdziemy stąd! Czyż ja nie jestem twoją żoną? Czyż to nie twoje dziecko, nie twoja krew? Przecież temu nie zaprzeczysz!

— Właśnie, że zaprzeczam, do krośet! — syknął drżąc ze wściekłości. — Idźno i powiedz ludziom, że ja jestem twym mężem, ja hrabia Robert Pardua! Haha! Myślisz, że ci kto uwierzy? Wezmą cię za obłąkaną i oddadzą do szpitala wariatów. Żebraczka i hrabina...

— A jednak oni mi uwierzą — przerwała mu spokojnie. — Chcesz mnie zmusić może, abym zdarła maskę, jaką na twarz włożyłeś? Skąd ty przychodzisz do tego, by się tytułować hrabią Pardua? Ty nie jesteś hrabią, tyś tylko...

— Czy ty będziesz milczała?

Jak tygrys rzucił się na nią, ubezwładnił jej ręce i podniósł pięść, chcąc ją uderzyć. A ona, jakby jej nagle sił przybyło, patrząc mu w oczy, dodała:

— Boś ty jest syn mieszczański, mój mąż, Robert Wilding.

Zdawało się, że okrutnik zmiażdży jej głowę jednym uderzeniem. Już podniósł rękę do góry, jednak opanował się, opuścił ją i syknął przez zaciśnięte zęby:

— No tak, masz prawo nazywać mnie swym mężem. Ale nie ozwij mi się z tem nigdy przy obcych ludziach, bo to będzie twą zgubą. Robert Wilding, twój mąż, umarł — umarł dla ciebie i dla całego świata, rozumiesz?

— Nie, dla mnie i dla mojego dziecka nie umarłeś, Robercie. Możesz się nazywać, jak chcesz, ale zawsze jesteś i będziesz moim mężem i żadna moc świata nie zdoła mi wydrzeć ojca mojego dziecka. Nie opuszczę cię i nie odejdę stąd bez ciebie — mówiła głosem bolesnej stanowczości.

— Małgorzato, bądź rozsądną! Nie wchodź mi w drogę, bo tego gorzko pożałujesz. Czy sądzisz, że mógłbym jeszcze kiedy wchodzić z tobą w jakie stosunki? Pytasz się, dlaczego cię porzuciłem. Czyż mam ci to tłumaczyć? Bo się już tobą prze-

syciłem, bo znienawidziłem cię wskutek twojego chodzenia do księżycy. Nie chciałem mieć za żonę lunatyczki i tego mi nikt za złe nie weźmie.

— Jakto? Więc ja jestem lunatyczką? — szepnęła przerażona. — Nic o tem nie wiem....

— Może być. Mnie to zresztą najzupełniej obojętne, czy ty wiesz o tem, czy nie. Nie chcę jednak, abys mi mogła kiedy zarzucić, że wydałem cię na łup nędzy. Jestem teraz bogaty i będę się starał o ciebie i o dziecko, tak, że biedy nie zaznacie. Ale stawiam warunek, że mi nigdy nie wejdiesz w drogę i nie będziesz mieć do mnie żadnej pretensyi.

— Robercie! — zawołała, a oczy błyszczały jej oburzeniem. — Pieniądzmi chcesz się okupić i pozbyć się żony i dziecka? Nędzniku bez sumienia! Ja nie ustąpię i nie dopuszczę nigdy do tego, aby jakaś inna kobieta zajęła moje miejsce przy twym boku.

— Zastanów się, Małgorzato — mówił wściekły z gniewu. — Nie możesz i nie powinnaś iść w poprzek mnie i memu szczęściu. Jestem zdolny do wszystkiego, o tem powinnaś wiedzieć. Nie drażnij mnie więc i nie wyprowadzaj z równowagi — groził jej głosem tak surowym, że ją mróz przeszedł po kościach.

— Robercie! — błagała go, załamując ręce wśród gorących łez — opamiętaj się i powróć do nas nie dla mnie, ale dla swego dziecka. Więc mały Fredziu nie będzie miał ojca? Robercie! Zrozum, że wszedłeś na złą drogę, która cię w przepaść zaprowadzi. Powróć z niej! Jeszcze nie jest za późno. Patrz, masz tu mnie i dziecko, wszystko będzie znowu dobrze...

— Nie, nigdy! Przecież byłbym głupcem, gdybym sam odrzucił to szczęście, jakie mnie spotyka. Ale — przerwał na chwilę i wpatrzył się w nią dziwnymi oczyma — skąd ty wiesz, że ja teraz jestem hrabią Pardua? W jaki sposób mnie odnalazłaś? Kto ci zdradził moją tajemnicę?

— Nikt — widziałam cię przed kilku dniami w mieście. Jechałeś we wspinałym powozie i nie zauważyłeś mnie. Wysiadłeś przed jednym pałacem i znikłeś w nim, zanim na cię zdołałam zawołać. Poznałam cię natychmiast, Robercie, chociaż powierzchowność twoja się zmieniła. Pytałam się ludzi i byłam pewna, że są w błędzie, nazywając cię hrabią Pardua.

— A dalej? — spytał z szyderczym uśmiechem. — Wiesz, kto mieszka w pałacu, do którego wszedłem?

— Dowiedziałam się i o tem i o mało nie oszalałam, kiedy mi powiedziano, że hrabia Pardua poszedł do swojej narzeczonej, córki zmarłej radczyni Solms, pięknej Erny.

— W takim razie wiesz wszystko. Znasz moje zamiary i cele — mówił hrabia z szyderczym śmiechem — i zdaje mi się, że masz na tyle rozumu i nie będziesz mi robiła trudności w mojem dążeniu do szczęścia.

— Czy to seryo, Robercie? Więc chcesz poślubić Ernę? Tę dziewczynę, która w tobie widzi hrabiego Pardua, jakim ty przecie nigdy nie byłeś i nie jesteś? Ależ nie, to przecie niemożliwe. Takim łotrem przecie nie jesteś. Może sądziłeś, że ja umarłam, uważałeś się więc za wolnego. Ale teraz, kiedy wiesz, że ja, twoja żona, żyję, teraz przecie nie możesz myśleć o poślubieniu innej kobiety.

— A jednak tak się stanie. Ja, hrabia Pardua, zaślubiam jutro Ernę Solms.

— Rany Boskie! Czy rozum straciłeś? — jęła nieszczęśliwa, przerażona i oszołomiona. — Jednak, ty tego nie zrobisz — dodała, jakby uspokajając sama siebie. — Chociaż nie wiem, w jaki sposób przywłaszczyłeś sobie tytuł i majątek hrabiego, to jednak, dzięki Bogu, wiem o tem, jak biedne, niewinne dziewczę ostrzedz przed straszną zbrodnią, jaką planujesz.

— Ha! Więc rzeczywiście chcesz mi stanąć na przeszkodzie? Chcesz może Ernę ostrzedz i zdradzić mnie? — rzucił zbiegającymi od gniewu wargami.

— Już ją ostrzegłam. W tej chwili Erna Solms wie już o tem, że ty nie jesteś wcale hrabią Pardua, ale moim małżonkiem.

Z krzykiem, pełnym przestachu, nienawiści i gniewu, hrabia aż się zatoczył i przez chwilę patrzył zdumiony w jej marmurowo blade oblicze.

— Więc ty śmiałaś?! — wrzasnął i rzucił się na nią jak szalony. — Ależ nie, dlaczego się przestraszam? Przecież ona ci nie uwierzyła, wyrzuciła cię za drzwi, jako wariatkę. Nie tak było? Mów, ty żmijo jadowna!

I znowu chwycił ją za ramiona i trząsł nią, jak wichor drzewem, w bezmyślnej wściekłości.